

OBCE JĘZYKI

UTWORY LITERATURY EUROPEJSKIEJ
WRAZ Z DOSŁOWNYMI PRZEKŁADAMI

CYKL FRANCUSKI.

TOM I.

ALFONS DAUDET

„Lettres de mon moulin“

„Listy z mojego młyna“



WARSZAWA
NAKŁADEM LINGWISTY.

1921.

I. 218.274

OBCE JĘZYKI

WYDANIE DRUGIE

Cena za tomik

Mk. 200.

CYKL FRANCUSKI.

- Tom I. *A. Daudet*: „Lettres de mon moulin”.
 Tom II. *Guy de Maupassant*: „Le Bonheur” et autres nouvelles.
 Tom III, IV, V, VI. *A. Dumas*: „Les trois mousquetaires”. (pod prasą).
 Tom VII. *E. Zola*: „La Débâcle” et autres pages choisies. (pod prasą).

W przygotowaniu: Th. Gautier, G. Flaubert, V. Hugo, Lichtemberger, A. France, G. Ohnet, Farrère, Rodenbach i inni.

CYKL ANGIELSKI.

- Tom I. *R. Kipling*. „Just so Stories”.
 Tom II. *Oscar Wilde*. „The Birthday of the Infanta” and „The Star-Child”.
 Tom III. *E. Poe*. „The Masque of the Red Death” and other Tales (pod prasą).
 Tom IV, V, VI. *C. Dickens*. „The Cricket on the Hearth”. (pod prasą).
 Tom VII. *Conan Doyle*. „A Question of Diplomacy” and other Tales (pod prasą).

W przygotowaniu: Mark Twain, Conrad-Korzeniowski, Chesterton, Jerome K. Jerome, Thackeray, Byron i inni.

UWAGA:

W niniejszym wydawnictwie przekład polski ma na celu jedynie ułatwić czytelnikowi zrozumienie oryginału i dlatego zachowana jest w przekładzie nie tylko dosłowność ale i — o ile możliwości — obcy szyk wyrazów, co naturalnie nie sprzyja poprawności języka polskiego.

Skład główny w księgarni I. RZEPECKIEGO

KRAKOWSKIE-PRZEDMIEŚCIE N-r 1.

Staruszkowie.

— List, ojcze Azan!

— Tak panie... to z Paryża (przychodzi).

— On był zupełnie dumny z tego, że to przyszło z Paryża, ten pocziwy ojciec Azan... Ja nie... Coś mi mówiło, że ta Paryżanka z ulicy Jean Jacques, spadając na mój stół niespodziewanie i tak wczesnym rankiem zmusi mnie do stracenia całego dnia. Nie myliłem się; przekonajcie się (popatrzcie) zresztą.

— „Trzeba, abyś mi zrobił przysługę, przyjacielu. Zamkniesz swój młyn na jeden dzień i pójdziesz natychmiast do Eyguleres... Eyguleres to duże miasto o trzy albo cztery mile od ciebie, — spacer. Kiedy tam przyjdiesz, spytasz o klasztor sierot. Pierwszy dom za klasztorem jest niski dom z szarymi okienicami, z małym ogródkiem z tyłu.

Wejdiesz, nie pukając, — drzwi zawsze są otwarte, i wchodząc, zawołasz bardzo głośno „Dzień dobry zacni ludzie! Jestem przyjacielem Manry-

tego. Wtedy zobaczysz dwóch staruszków, a, ale starych, areystarych, którzy wydągają ręce do ciebie z głębi swoich dużych foteli, i ty uścisniesz ich odemnie z całego serca, tak jak gdyby oni byli twoimi...

Potem będziecie ze sobą rozmawiali, oni ci będą mówili o mnie, tylko o mnie; oni ci opowiedzą tysiące głupstw, których ty wysłuchasz bez śmiechu... Ty nie będziesz się śmiał, he?

To są moi dziadkowie, dwie istoty, dla których ja stanowią całe życie i którzy nie widzieli mnie od dziesięciu lat... Dziesięć lat to długo!... Lecz cóż chcesz? mnie, Paryż trzyma, ich to podeszły wiek. Oni są tak starzy, że gdyby pojechali mnie odwiedzić polamaliby się po drodze... Na szczęście ty jesteś tam, mój kochany młynarzu, i ściskając ciebie, biedni ludzie będą myśleli, że ściskają trochę mnie samego... Mówiłem im tak często o nas i o tej dobrej przyjaźni, która..."

Niech diabli porwą przyjaźni! Właśnie tego poranku była cudowna pogoda, ale która nie była warta aby biegać po drodze: za dużo wiatru północno-zachodniego, za dużo słońca, prawdziwy dzień Prowansalji. Kiedy przyszedł ten przeklęty list, ja już wybrałem sobie schronienie pomiędzy dwoma skalami i marzyłem pozostać tam przez cały dzień, jak jaszczurka, pijąc światło i słuchając śpiewu sosen.

Zresztą cóż robić (co chcecie robić)? Zamknąłem młyn, wyklinając, włożyłem klucz do skrytki. Kij, fajka i oto wyruszyłem.

Doszedłem do Eyguieres koło drugiej. Wiosna była pusta, wszyscy byli w polu. W wierzach przydrożnych, białych od kurzu ścierające się wiały jak na Crau (dolina Rodanu). Był naprawdę

na placu merostwa osioł, który wygrzewał się na słońcu, stado gołębi na studni kościelnej, ale nie było nikogo, kto by mi mógł wskazać dom sierot.

Na szczęście stara wróżka zjawila mi się nagle, siedząc i przedąc w kąciку przed drzwiami; powiedziałem jej czego szukam, a ponieważ ta wróżka była bardzo potężna, wystarczyło by podniosła tylko wrzeciono: natychmiast klasztor sierot stanął przedemną jakby... dzięki czarom...

To był duży dom, ponury i ciemny, dumny z tego, że mógł pokazywać nad swą wejściową dwuluczą bramą stary krzyż z czerwonego piaskowca z niedużym napisem po łacinie dookoła (trochę łaciny). Obok tego domu ujrzałem mniejszy. Okienko szare, ogród z tyłu... Poznałem go natychmiast, i wszedłem, nie pukając.

Bede całe życie widział przed sobą (pamiętał) ten długi korytarz, chłodny i spokojny, ściany malowane na różowo, ogródek drżący przez firankę jasnego koloru, i na wszystkich ścianach zwiedle kwiaty i skrzypce. Zdawało mi się, że wehodge do jakiegoś starego sędziego z czasów Sedałne'a (poeta końca 18 wieku).

W końcu korytarza na lewo przez nawpół otwarte drzwi słyhać było tik — tak dużego zegara i głos dziecięcy, ale dziecka ze szkoły, który czytał, zatrzymując się na każdej sylabie: Wte—dy... świę—ty... I—re—ne—usz... za—wo—łał... jes—tem... psze — ni — ca Pa — na... trze — ba... a — bym był zmie—lo—ny ze—ba—mi tych zwie — rząt... Zbliżyłem się cichutko do tych drzwi i spojrzalem.

W spokoju i pół-świecie małego pokoiku mi-
ły staruszek o różowych policzkach, pomarszczo-
ny aż do końca paleców, spał w głębi fotelu, z o-
twartymi usty i rękami na kolanach. U jego
stóp dziewczynka ubrana na niebiesko, — duża
pelerynka i mały czepeczek, strój sierot. — czy-
tała życie świętego Ireneusza z książki większej
niż ona sama...

To cudowne czytanie wywarło wpływ na ca-
ły dom. Staruszek spał w swym fotelu, muchy
na suficie, kanarki w klatce tam na oknie. Du-
ży zegar sapał tik—tak, tik — tak. Jedyne, co
w całym pokoju nie spało (czuwało) to było duże
pasmo światła, które wpadało prosto i jasne przez
przymknięte okienice, pełne żywych iskerek i
mikroskopijnych walezyków...

Pośród ogólnego snu, dziecko w dalszym
ciągu czytało głosem poważnym: Na— tych —
miast... dwa lwy rzu — ci — ty się na nie — go
i po — żar — ty go... W tej chwili wszedłem
Gdyby lwy świętego Ireneusza wpadły do pokoju
nie wywołałyby większego (osłupienia) przeraże-
nia, niż ja. Prawdziwe przedstawienie!

Mała wydaje krzyk, duża księga pada, ka-
narki, muchy budzą się, zegar bije, staruszek
wskakuje, wystraszony i ja sam trochę zmiesz-
any zatrzymuje się na progu i krzycze głośno:

— Dzień dobry, zasnę ludzko, jestem przy-
jacielem Mauryczego.

O, wtedy gdybyście go widzieli, biednego staruszka, gdybyście go widzieli, jak on szedł ku mnie z wyciągniętymi rekoma, ścisnął mnie, ścisnął mi ręce, biegł jak błędny po pokoju mówiąc:

— Mój Boże, mój Boże!

Wszystkie zmarszczki na jego twarzy śmiały się. On był czerwony. Jękał:

— Ach! panie, ach panie...

Potem poszedł wgląd, wołając:

— Mamusiu!

Drzwi się otwierają, stąpanie (trucht) myśzy w korytarzu... to była mamusia. Niema nic miłszego niż ta mała staruszka w swym czepku z kokardą w karmelitańskiej sukni z chusteczką haftowaną, którą trzymała w ręku (aby mi robić honory domu), aby mię przyjąć, według starej mody. Rzecz rozesulająca! oni byli podobni do siebie.

Gdyby on miał uczesanie i żółte kokardy mógłby się nazywać mamusią, on także. Lecz prawdziwa mamusia musiała dużo płakać w swym życiu i była jeszcze bardziej pomarszczona niż tamten. Jak i tamten ona miała przy sobie dziewczynkę z zakładu dla sierot, małą pielęgniarke w niebieskiej pelerynie, która nie opuszczała jej nigdy; i widzieć tych staruszków pod opieką tych sierot, to było wszystko, co tylko można było sobie wyobrazić najbardziej rozesulającego.

Wehodząc, mamusia, zaczęła od tego, że złożyła mi głęboki ukłon, ale jednym słowem staruszek przeciął jej ukłon:

— To przyjaciel Maurycego...

I oto natychmiast ona drży, płacze, gubi swoją chusteczkę, robi się czerwona, zupełnie czerwona.

na, jeszcze bardziej czerwona niż on... Ci starzy! oni mają tylko jedną kroplę krwi w żyłach i przy najmniejszym wzruszeniu ona (skacze im do twarzy) uderza im do głowy.

— Predko, predko krzesło, mówi stara do swojej malej.

— Otwórz okiennice... krzyczy stary do swojej.

I biorąc mnie (każdy) za rękę, poprowadzili mnie, drepcząc do okna, które otworzono szeroko, aby mnie lepiej widzieć. Przysuwają fotele, siadam (ulokowuje się) pomiędzy nimi dwoma na składanym krześle, błękitne male (dziewczynki) za nami i badanie się rozpoczyna.

— Jak się on miewa? Co porabia? Czemu nie przyjeżdża? Czy jest zadowolony...

I patati! i patati! W ten sposób godzinami.

Odpowiadałem jak umiałem najlepiej na ich pytania, podając o swym przyjacielu szczegóły, o których wiedziałem, wymyślając w najbezpieczniejszy sposób takie, o których nie wiedziałem, mając się na baczności przedewszystkiem, aby się nie przyznać, że nigdy nie uważałem na to, czy jego okna dobrze się zamykają, lub jakiego koloru są tapety w jego pokoju.

— Tapety w jego pokoju! One są niebieskie, pani, jasno-niebieskie, z girlandami.

— Naprawdę? mówiła biedna staruszka rozczulona; i dodawała, zwracając się do męża: To zacne (dobre) dziecko.

— O tak, to dzielne dziecko! powtarzał drugi z zachwytem.

I cały czas, gdy ja mówiłem, to było między nimi kiwanie głowami, chytre uśmiechy (male

chytro śmiechy), mruganie oczyma, miny porozumiewawcze, albo też stary zbliżał się, aby mi powiedzieć:

— Proszę mówić głośniejsze, ona źle słyszy (ma trochę twarde ucho).

A ona ze swej strony:

— Trochę głośniejsze, proszę! On nie bardzo dobrze słyszy...

Wtedy podnosiłem głos, oboje dziękowali mi uśmiechem: i w tych zwiędłych uśmiechach, które się chyliły ku mnie, szukając aż w głębi moich oczu obrazu ich Maurycego, byłem zupełnie wzruszony, odnajdując ten obraz niewyraźny, zamglony, prawie nienechwytny, jak gdybym widział mego przyjaciela, który uśmiecha mi się z daleka, jakby przez mgłę.

Wtem stary podniósł się na fotelu:

— Ale co myślę mamusi, on być może jeszcze nie jadł śniadania.

I mamusia przerażona, (wyciąga) ręce do nieba:

— Nie jadł śniadania! Wielki Bóże!

Myslałem, że chodziło wciąż o Maurycego i chciałem odpowiedzieć, że to zacne dziecko nie czekało nigdy dłużej niż do południa, aby zasiąść do stołu. Lecz nie, to jednak o mnie mówiono, i trzeba było widzieć jakie zamieszanie (rozgardzanie), kiedy się przyznałem, że jestem jeszcze naczecz.

— Prędko nakrycie, małe błękitne! (dziewczynki) stół na środek pokoju, serwetę niedzielną, (od święta), talerze w kwiaty. I nie śmiejmy się tak dużo, jeżeli łaska! i śpieszmy się...

Wierzę, że one się śpieszyły. Zaledwie upłynęło tyle czasu, co potrzeba, aby stłuc trzy talerze, i śniadanie było podane.

— Dobre śniadanko, mówiła mamusia, prowadząc mnie do stołu; tylko pan będzie sam (jadł) my (inni) jedliśmy już rano.

Biedni staruszkowie! o jakiej by godzinie ich nie zapytać (wziąć) oni zawsze jedli rano.

Dobre śniadanko mamusi, to było dwa łyki mleka, daktyl i barquette, coś w rodzaju ptysia (ciastko), dostateczne, aby karmić ją i jej kanarków przynajmniej przez cały tydzień. I (powiedziałem), że ja sam dałem sobie radę (doszedłem do końca) z temi zapasami.

To też jakie oburzenie naokoło stołu! Jak małe błękitne (dziewczynki) szeptały, potrącając się łokciem. I tam w głębi klatki kanarki zdawało się mówić do siebie: „O ten pan zjada całego ptysia“.

Zjadłem go rzeczywiście całkowicie, i prawie nie zdając sobie z tego sprawy, będąc pochłonięty, rozglądaniem się wokół siebie po tym pokoju widnym i spokojnym, gdzie unosiła się jakby woń dawnych dziejów. Były tam przedawszystkiem dwa małe łóżeczka, od których nie mogłam oderwać oczu. Te łóżka, nieomal dwie kołyski, wyobrażałem sobie je o świcie, kiedy są jeszcze opatulone (pogrzebane) w swych dużych firankach z frendzlami. Biję trzecia. To godzina, kiedy się budzą staruszkowie:

— Spisz mamusi!

— Nie, mój przyjacielu.

— Nieprawdaż Mauryey, to zacne dziecko!

— O tak, to zacne dziecko.

I wyobrażałem sobie całą taką rozmowę patrząc (tylko z tego powodu, że wiedziałem) tylko na te dwa łóżeczka staruszków, postawione jeden obok drugiego.

W tym czasie straszny dramat odegrywał się w tamtym końcu pokoju koło szafy. Chodziło o to, aby sięgnąć (wziąć) tam w górze na ostatniej półce po pewien słoik z wiśniami na wódec, który czekał na Maurycego od dziesięciu lat, który chciało dla mnie otworzyć. Wbrew prośbom mamusi, stary postanowił zdjąć swoje wiśnie sam i stojąc na krześle, ku ogromnemu przerażeniu żony, starał się sięgnąć w górę.

Wyobraźcie sobie obrazek (widzicie stąd obrazek) stary drży i wspina się, małe błękitne dziewczynki uczepione (trzymając się kurezowo) krzesła, mamusia z tyłu, sapiąca (z trudnością oddychająca) z wyciągniętymi rękoma, i nad tym wszystkim zapach bergamotów, który się rozchodzi z otwartej szafy i dużych stosów rudawej bielizny... To było prześliczne.

Wreszcie, po wielu wysiłkach (trudach) zdolano wyciągnąć z szafy ten znakomity słoik i razem z nim stary srebrny kubek, cały pogięty, kubek Maurycego, kiedy on był mały. Napelnięto mi go wiśniami aż po brzegi, Maurycy tak lubił wiśnie! I podając go stary, mówił mi do ucha z miną smakosza:

— Pan jest szczęśliwy, że pan będzie mógł je zjeść! To moja żona je robiła (przyrządziła). Pan skosztuje coś dobrego.

Niestety żona jego je przyrządziła, ale zapomniła je ocukrzyć. Cóż ohecie!

starzejąc się, stajemy się roztargnieni. One były okropne, wasze wiśnie moja biedna Mamusiu, ale to mi nie przeszkodziło zjeść je do końca bez zmarszczenia brwi.

Po skończonym posiłku, wstałem aby pożegnać gospodarzy. Pragnęli by mnie jeszcze trochę zatrzymać, aby pogadać o zaenym dziecku, ale dzień miał się ku schyłkowi, młyn był daleko i trzeba było iść.

Stary wstał jednocześnie ze mną.

Mamusiu, moje ubranie!.. Chcę go odprowadzić do placu.

Zapewne Mamusia w głębi duszy (stebie) znajdowała że już było trochę za chłodno, aby mnie odprowadzać aż do placu, ale nie dała z tego nie poznać. Tylko gdy pomagała mu wciągnąć rękaw ubrania, pięknego ubrania koloru hiszpańskiego tytoniu z guzikami z masy perłowej, słyszałem jak kochana istota mówiła po cichu.

— Ty nie będziesz wracał zapóźno, nieprawdaż?

A on, z chytrą miną:

— He, he, ja nie wiem... być może.

Przytem oni patrzyli na siebie, śmiejąc się i małe błękitne dziewczynki śmiały się patrząc na nich (jak tamci się śmieją) i w swoim kąciku kamarki śmiały się też na swój sposób. Mówiąc między nami (pod sekretem), ja myślę, że zapach wiesien ich wszystkich trochę odurzył.

...Noc zapadała kiedy wyszliśmy, dziadek i ja. Mała błękitna dziewczynka szła za nami zda-

leka, aby go odprowadzić z powrotem; ale on nie
widział jej i był zupełnie dumny z tego, że siedzi
ze mną pod rękę, jak prawdziwy mężczyzna. Ma-
musia, rozpromieniona patrzyła na to z progu
(przed domem) i patrząc na nas ładnie kiwała
(miała ładne kiwnięcie) głową, co zdawało się mó-
wić: „A jednak, mój biedny (kochany) mąż je-
szcze chodzi”.